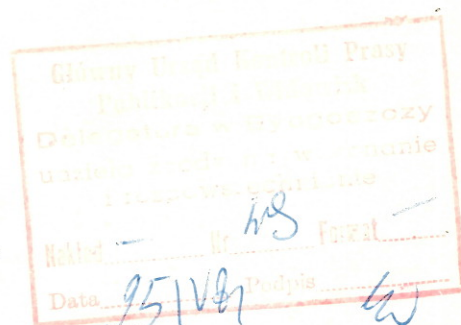


Jerzy SULIMA-KAMIŃSKI
Redakcja Literacka

211
Dnia: 26.IV.1981 r.
Godz.: 16,05 - 17,30

V-V
" M A N E K I N "

=====
/fragment prozy/



II.

Budzę się pośrodku ping-pongowego turnieju. Celuloidowe piłeczki plaskają wokół mnie; jestem jak pod kloszem utworzonym z furkoczających piłeczek. Zaciekawiony wyłaniam uszy z objęć matki. Teraz odgłos piłeczek brzmi jak uderzenia niezliczonych młoteczków bijących w beton.

- Co to jest?!
- Cii... Strzelają...
- Kto?!

Matka przygarnia mnie mocniej do siebie. Duszę się w drape-
riach jej swetra. Wchłaniam cierpki a tak bliski i poufny zapach
jej ciała. Nie mam o nic pytać. Mam tylko tak trwać skulony w jej
ramionach. Tylko tego chce ode mnie w tej chwili. Nie pytam
o ojca. Ma przecież tego swojego dziewięciostrzałowego walthera,
ma pod sobą tych swoich czterech uzbrojonych ludzi. Dadzą sobie
radę. Spod pachy matki zerkam w głąb piwniczego korytarza.

213
kw

Coraz mniej pasażerów w tej naszej salonce. Po odejściu sióstr Sobeckich i pani Radzikowskiej z Dzidkiem, zrobiło się w schronie przestrzenniejsze i jakby załobniejsze. Batkowie milczą w swoim boksie. Siedzą na posłaniu z kolanami pod brodą i kopcą papierosy. Syfon z wodą sodową już nie syczy, tylko budzik z rowerowym dzwonkiem brawędzi swoje namolne tiktaki. W przedziale Radzikowskich po staremu świeci się wieczna lampka. Nigdzie nie widzę psa rotmistrzostwa Oborskich. Może powędrpwał do sutereny Grzybowskich. Słychać stamtąd kłótnię Edka z Hilarym i wściekły głos mamy Grzybowskiej: - Stulcie pyski, luje! - Brygida gdzieś pewnie siedzi skulona jak mysz pod miotłą, ani ją widać ani słychać. Dobrze że chociaż nie wrócili - skąd, nie wiadomo.

Papuga po siostrach Sobeckich poskrześuje i nerwowo przebiera łapkami na drażku. Jej głos przypomina skrzywienie zardzewiałych zawiasów. Z sieni przytuptał pies rotmistrzostwa Oborskich, przysiadł pod klatką z papugą i warczy. Więc jest to moje psisko! - Dieser verdamter Hund! - złości się pani Emma. - A Batko ucisza ją. - Niech sobie warczy, byle knie szczekał. Sam kark mu skręci gdyby narobił hałasu. Nie pozwoli żeby taki głupi

pies ściągnął na nas nieszczęście. Trzeba siedzieć cicho jakby nas wcale nie było. Usłyszy ktoś z ulicy i puści serię prosto w naszą salonkę.

Strzały padają gdzieś niedaleko ^{Wd.} ~~psa~~. Jakby na naszym podwórku toczyła się wojna. Moja matka jest pewna że na podwórku. Pani Emma też. Dlatego wysyła pana Batkę na zwiad. Ma sprawdzić czy drzwi zamknięte na klucz i na łańcuch. Ale Batko zbywa ją machnięciem ręki. Co tam klucz, co tam łańcuch. Portier Grzybowski pojawia się z mokrą głową, z ręcznikiem na karku. Powiada że nie, nie na podwórku. To tylko takie echo. Cała Naruszewicza w ogniu. Wala w obie strony, tylko nie wiadomo kto do kogo. Pan Batko kiwa na Grzybowskiego i coś szepce mu do ucha. Grzybowski drapie się po głowie, potem przywołuje Batkę sekretnym skinieniem głowy. Obaj mężczyźni znikają w boksie panien Sobeckich. Ktoś szufluje węgiel. Co oni tam robią? Z pewnością pan Batko zakopuje w węglu swój bębenkowiec. Raz groził nim wujowi Pawłowi. A to wtedy, gdy na bani wracał do nas i zamiast w nasz zamek, wetknął klucz do zamka Batków, piętro niżej. I ojciec wygarnął Batce co o nim myśli. Teraz pan Batko wychodzi z boksu panien Sobeckich czarny jak węglarz. Grzybowski mruga

217 kw

poufnie do Batki a ten wraca do pani Emmy i wyciera ręce w jej fartuch wiszący na sęku przepierzenia. Ta w krzyk. Wojna nie wojna, ale kultura musi być! I składa wizytę w naszym boksie. Pyta matkę, jak się czuje, bo chyba niedługo u niej się zacznie? Matka na to, że wszystko w porządku, tylko boi się o mnie, żeby mnie jaka kulka nie trafiła. - Trzeba ufać w Bogu - powiada pani Emma. A matka na to że oczywiście, przecież ufa i dlatego tylko się niepokoi, a tak by rozpaczała. - I mówi jeszcze pani Emma, że gdyby to, to mamy ją zawołać, na inną pomoc nie ma co na razie liczyć.

Matka dziękuje. - Jak było między nimi tak było - powiada - ale zawsze wiedziała że na panią Emmę można liczyć. I że jak to możliwe, w świętą niedzielę ludzie zamiast pójść pomodlić się do kościoła, strzelają do siebie jak do kaczek. Co za dziki naród.

Przychodzi gruba mama Grzybowska z pytaniem czy ktoś przypadkiem nie potrzebuje gotowanej wody, bo akurat jest? Ale nikt nie ma chęci ani na wodę ani na nic, Wszyscy znowu przycupnęli, każdy w swoim boksie, i czekają co będzie dalej, Matka modli się a ja staram się wyłowić z bitewnego gradobicia strzały z waltherów mojego ojca i tych czterech których ma pod sobą. To jasne

219 M

że bronią garbarni. Cała bitwa idzie o garbarnię.

Nagle staje się coś dziwnego. Cisza jakby ręką odjął. Jak byśmy tkwili pod wodą. Ani jednego strzału. Tylko mieszanina jakichś głosów. Rozkazujących, energicznych. Na kociach łbach ulicy tupią żołnierskie buty. Potem i one milkną. Teraz dopiero wychodzi na jaw że nie wszystko jeszcze ucichło. W głębi miasta, gdzieś od strony placu Wolności, może od placu Teatralnego, a może wokół nas, w całym mieście, trwa dalej ping-pongowy mecz. Ale to daleko od nas, Tutaj zda się już być po wojnie. Prosto z naszej salonki - wydaje mi się - ubrany w lekki jesienny płaszcz, pójdę z matką i ojcem na sumę do kościoła jezuickiego na rynku marszałka Piłsudskiego. I na pewno rodzice kupią mi po drodze rumową bombę albo czekoladową kostkę. A na placu Teatralnym, matka każe mi spojrzeć w lewo, na sklep tekstylny Molendy, abym przypadkiem nie spojrział w prawo na nagą Luczniczkę strzelającą z łuku prosto w okna teatru. I napewno na teatralnym moście uliczny fotograł pstryknie nam leicą fotkę a ojciec będzie się przed nim oganiać jak przed gzem i mówił: - Nie, nie! Zostaw pan to głupstwo! I kupimy u gazeciarza Przewodnik Katolicki z panem Kluską i z kardynałem Hłondem błogosławiącym klęczące przed nim zakonnice. Być może, po sumie, ojciec

221/44

zaprosi nas do Stencła na kakao i Liebesknochen. I zapali swoje niedzielne grube cygaro.

Tymczasem w zamku drzwi wejściowych chroboocze klucz. Nie ma się czego bać, to ktoś swój. Wszyscy wiedzą że mój ojciec ma przy sobie klucz od bramy.

I rzeczywiście: wchodzi z waltherem pod marynarką, bez czapki, z włosami przyklepionymi do spoconej czaszki.

- Niemcy zrobili powstanie! -- wymachuje ramionami. - Wala do wojska, do cywilów, skąd i z czego się tylko da! Piekło! Tutaj, pięćdziesiąt metrów od nas, na podwórzu Apelta mieli broń. Cały magazyn! Maszynówki w kontrabasach! I radia! Radia mieli!

Pan Batko wychyla głowę ze swego boksu.

- A teraz? Jak teraz sprawa wygląda?

- Co ja wiem? Tych u Apelta rozbroili, to sam widziałem.

Pytam ojca czy też strzelał? Bo mnie się zdawało że słyszałem pukanie jego walthera. Ale ojcu nie w smak to pytanie. Pewnie Co miał strzelać! Ojciec nie wojsko ani nie policja. Ojciec pilnuje garbarni, za to mu płacą pensję i dają raz na kwartał deputat w twardej, melówkowej skórze.

223/4

Garbarnia graniczy ze składem opałowym Apelta, a ten z jego posesją przy ulicy Naruszewicza. Właściwie Augusta Apelta od dawna już nie ma. Pozostała firma i ^{wnosił}uderżająca w ciasnym kantorku plenipotentka Apeltowej, panna Wiśniewska. Stary mason Apelt za życia miał zwyczaj ukazywać się w wielu miejscach jednocześnie. Już to promenadując w kolonialnym kasku ulicą Garbary czy Łokietka już to widywano go na rogu u Budzbona, pijącego jamajski rum. Inny zaś Apelt w tym samym czasie płynął Brdą na wznak. We fraku, w cylindrze i w nowiutkich lakierkach od Baty. Z żarzącym się cygarem w sardonicznie skrzywionych ustach. Z jednym okiem przymkniętym, drugim zaś filuternie otwartym, Palce w białych rękawiczkach glazé, ścisnęły kościaną główicę laski, którą zwykł był zabierać z sobą na tego rodzaju przejażdżki. Płynął, jak mówiono, gdzieś od mostów kolejowych, przepływał pod mostem Królowej Jadwigi, pozostawiając po prawicy garbarnię Bucholza, po lewicy zaś dyrekcję kolei. Rozwiewał się gdzieś w okolicy śluzy miejskiej i fabryki pilników "Prom", w pobliżu miejsca, skąd latem odpływały zielone motorówki na plażę Petersona, zwaną "Rivierą".

Wszystko więc dzieje się bardzo blisko i ojciec wcale nie

225

musiał opuścić swego posterunku w garbarni by zobaczyć to, o czym z takim podnieceniem opowiada.

Pan Batko podchodzi do ojca; ciągle od nowa pyta jak sprawy stoją. Ale tak naprawdę? Bez bujdy na resorach. Radia po rotmistrzu Oborskim już nie słucha bo elektrownia przerwała pracę, albo gdzieś w pobliżu zerwano linię. Poza tym jego żona wróciła w sierpniu z Berlina; jeszcze by ich kto wziął za szpiegów.

Ojciec wzrusza ramionami. Co on wie? Mały jest, nic nie wie. Dzwonił z garbarni do komendy, ale odesłali go do diabła i tyle się dowiedział. Jedno co chyba pewne, nasi uciekają. A tutejsi Niemcy strzelają nam w plecy. Ale wojsko i policja zrobią swoje, rozbiją dywersyjne grupy. Jak tę tutaj, u Apelta.

Tak sobie gadają ojciec z Batką, aż tu łomot do drzwi od ulicy. Grzybowski przyskakuje do zamka, rygle odsuwa, bo jak nie to i tak kolbami rozwalą. Wchodzą, dwóch ich jest: wojskowy i kolejarz z bagnetem na francuskiej flincie. I kolejarz zaraz prosto do ojca, bo on gadu gadu, a kabura z waltherem na brzuchu jak na stole. Kto on jest? Niemiec? - Ojciec legitymację wyciąga. - Masz pan, żebyś głupstw nie klepał. - Aha... kolejarz podejrzliwie - To co tu się robi kiedy ma się być w garbarni? - A robi

się to, że się przyszło do rodziny, zobaczyć czy wszystko żyje. Gorąco tu było w okolicy, chyba jasne, nie? - No dobra, w takim bazie niech wskaże gdzie tu ukrywają się Niemcy. - Ojciec kaburę poprawia, że niby źle mu leży, widać zły jest i kolejarz mu się nie podoba. - Jacy Niemcy? Tu nie ma żadnych Niemców, sami swoi.

- No tu, a tam?

- Tam? Gdzie?

- W tej kamienicy Apelta, od Królowej Jadwigi?

Ojciec waha się przez moment.

- Tam leży stara Windorfka, od miesiący ani ręką ani nogą...

Dajcie jej spokój.

- A inni?

- Nie ma żadnych innych. Ja tam mieszkam i Melech, gospodarz, Radzikowscy z pierwszego piętra...

- Ja wiem, że tam mieszkają Niemcy. Prowadź pan!

Ojciec mruczy coś pod nosem, ale maszeruje przodem. Ja za nimi krok w krok, na końcu. Ojciec z waltherem za pasem wygląda jak dowódca patrolu, ale to jego prowadzą, nie on ich; kolejarz ma ojca na oku. Żołnierz nie. Żołnierz w chropawym hełmie wsadził nos w skulone dłonie zapala kipę. Idąc,

229/4

podbija kolanami kolbę karabinu. Zdaje się być obojętny na wszystko co się wokół niego rozgrywa. Ma front w nogach i proch w nozdrzach, co mu tam jacyś cywile. Kolejarz jest rzeźki i podniecony. Bacznie zerka w okna naszej kamienicy czy nie padnie skądś fatalny strzał. Jego flinta gotowa do akcji, opisuje w przestrzeni ostre zygzaki. Karabin z bagnetem nie mieści się w prześwicie podwórzowych drzwi, więc pochyla broń i trąca szpicem bagnetu kołnierz u marynarki mojego ojca. A ojciec wścieka się. - Zglupiałeś pan?! - Nie wiadomo dlaczego wyciera buty w wycieraczkę. Tamci, żołnierz i kolejarz, machinalnie powtarzają ten bezsensowny gest. Ja też.

Ojciec prowadzi nas do piwnicy ale tam pusto, wszyscy pociękali. W korytarzu krzesła i fotele jak na teatralnej scenie po skończonym ostatnim akcie. Na nich pomięte poduszki, jakby ciepłe jeszcze od ciał ich nieobecnych właścicieli. Czyjeś bambosze, jeden tu, drugi tam, walają się w przejściu. Kopane przez nas, szorują wzdłuż całej piwnicy. W pralni sterta nie pomytych naczyń i garnek pełen ugotowanych kartofli w łupinach, Piec jeszcze letni. Drzwi do boksów starannie zamknięte na kłódki. W świetle ojcowej elektrycznej latarki pojawiają się na

moment lśniące błotniki rowerka małej Melechówny. Na końcu korytarza straszy gors krawieckiego manekinu. Ten twór z wyprutym włosiem, bez głowy i kończyn, przeraża mnie. Rozdarta pierś manekina, karabiny, bagnety... To jest wojna! Oglupiały z nagłego strachu, czepiam się spodni ojca. A ten jak nie krzyknie: - Co ty tu robisz, gzubie?! - Nie widział mnie, ojciec... Boże! Chce mnie przegonić ale wiem, nie puści mnie samego przez podwórko, już pójdę za nim trop w trop żeby nie wiem co. Trzymam się ojca a on świeci latarką w głąb boksów. Czasami latarka uwięźnie między sztachetami przepierzeń, wtedy klnie wrednie. - Puste - powiada - nikogo niem ma, ni żywej duszy. Nagle świeci w twarz żołnierzowi, potem całą piwnicę omiata latarką. - A gdzie ten cały kolejarz?

- Czort jego wie, bywszy się zadział gdzieś...

Teraz ojciec przejmuje komendę. - Chodź no pan - powiada do żołnierza.

Wychodzimy z piwnicy na parter, a tam starzy Nitzowie z podniesionymi rękoma, krocze po krocze, schodzą z pierwszego piętra. Za nimi, z flintą skierowaną w ich stronę, zstępuje kolejarz, I zaraz do ojca:

- Coś pan trzeszczał że tu nie ma Niemców? A ci to kto?

Ojciec spokojnie - niby spokojnie - sięga po kapciuch z tytoniem, Nabija fajkę i podaje tytoń żołnierzowi. - Skręć pan sobie... Tjaaa - i zapala fajkę - Tjaaa, toś pan ale fest bohater. Trzymasz pan tu staruszków na cynglu, a młodziki hulają sobie na całego ...

- Herr Kamynsky - mamroce blady Nitz - Herr Kamynsky...

- Ja, ja, panie Nitz - ojciec zaciąga się przednim holenderskim - Ja... Pan jesteś stary osiemdziesiąt lat, pana żona też tak coś około tego... - I do kolejarza - Zabieraj człowieku tę flintę i każ im iść do domu. I wstydz się. Tutaj za porządek i sprawiedliwość ja odpowiadam.

Żołnierz zwraca ojcu kapciuch, odpala papierosa od jego fajki i kręci się tak, jakby miał wyjść na ulicę. To skutkuje. Kolejarz stawia broń u nogi i zdejmuje czapkę. Wtyka palec w dziurkę nawierconą w blyszczącym rydelku.

- Popatrz no pan - kiwa palcem w dziurze - O mały figiel a by mnie puknęli,

- Gdzieś pan to złapał?

- A ha Warszawskiej, z wieży ewangelickiej psiekrwie,

235
lu

strzelali.

Salutują, odchodzą. A Nitzowie człap, człap, z powrotem na piętro. Ojciec mnie za kołnierzyk czaps i jak kota za futro mną targa. - Że co? Kto mi kazał włożyć się zanim przez podwórko? Kiedy kulki ino tak świstają? Co? Rozumu nie mam? Małce, ojcu tragedii napytać? Luntrusie jeden!

To ja z miejsca gazu i nura do piwnicy. A tam Edek pierze Hilarego. Za te czekoladki od Lukullusa, co je tata Grzybowski pozbierał był z chodnika na Garbarach i jako trofeum dla dzieci przyniósł. Mam Grzybowska prask, prask, mokrą ściągę synów po pyskach. Żeby co do jednej oddali! Czekoladki na pewno zatrute przez szpiegów, albo nadziane prochem, czy zalazajeremę wszyscy tu trupem padną przez te głupie czekoladki! Przez tę ohciwość i łakomstwo! - Nadstawia fartuch swój kuchenny. - Tu, sypać mi to świństwo! Do pieca z tym, do pieca! - Ale Grzybowski jest szybszy. - Nie po to - mówi - zginał się z tym swoim heksen- szusem po łakocie, żeby je teraz spalić w ogniu. Wara Grzybowskiej od czekoladek! Nigdy jego dzieci czegoś takiego nie jadły, przy- najmniej za darmo, nawet na Gwiazdkę, to niech teraz chociaż skosztują kiedy świat się wali. Dobrze są, nie zatrute. Sam widział jak ludzie skrzynie rozbijali w magazynie. Jak się

237
E

uspokoi, to pójdzie i przyniesie więcej.

Ojciec chce wracać do garbarni, do tych swoich czterech których ma pod sobą. Ale przedtem coś przekąsi, bo - jak uważa - odwaliliśmy kawał dobrej roboty. - I spogląda na nie, co by znaczyło, że i ja mam w tym swój udział. Kroi wędzony boczek, kładzie na pajdzie czerstwego chleba i posypuje pieprzem. - Tam na niego czekają w garbarni, - powiada - Pewnie myślą, że mu się coś złego przytrafiło; nie może pozostawić placówki bez dowództwa. Przede wszystkim pośle patrol nad rzekę czy mu tam kto czego nie podrzucił, jakiejś bomby albo maszynpłki w kontrabasie czy coś takiego. Jak złapie Niemca z bronią w ręku to bez pardonu strzeli. Ale bezbronnych będzie bronić; każdy chce żyć, każdy ma prawo do życia. Możemy być spokojni, wstydzić się za niego nie będziemy, Zresztą najgorsze już ohyba minęło, strzelanina ustała a to dobry znak. Wojsko się przegrupuje, miasto oczyści i front może się od nowa uformować. A wtedy zobaczymy. Najważniejsze, żeby u matki się jeszcze nie zaczęło, żeby poczekała z tym parę dni.

Batko skrada się za plecami ojca, stuka go palcem w łopatki.

- Ty, Boles? Co tam było z tymi Nitzami?

Ale ojciec ma pełne usta chleba z wędzonym boczkem i nie

239

od razu może odpowiedzieć. Krztusie się i prycha. - Gdzie drwa
rąbią, wióry lecą...- Marzy mu się łyk selcerskiej z syfonu
Batki, ale ten odkręca zawór i rozkłada ręce. - No dobra, napiję
się u Bucholza... Nitzów puścili, a co mieli zrobić, co im po
takich Nitzach?

- A most?

- Tjaaa, most...

-Ten tu, nasz...

- Może tak źle nie będzie... Trzeba czekać, czekać trzeba...

A eza przepierzenie^o naszej schronowej salonki dochodzi
mnie obolały głos matki.

- Czekać? Na co czekać? Na co my czekamy?!

Ojciec unosi brew, tak jakby wiedział na co musimy czekać
tylko nie chce powiedzieć na co. Pan Batko odwraca się do nas
plecami. Gdzieś blisko mnie gulgooze perliczka. To śmieje się
milcząca dotąd w swoim boksie Emma Batko.

- - -